W tym nieco zbyt wiejskim domu, wyglądającym na miejsce odpoczynku między dwiema przechadzkami lub na schronienie podczas ulewy, jednym z owych domów, gdzie każdy salon przypomina parkową altanę, a w sypialni towarzyszą wam ogrodowe róże bądź leśne ptaki – na szczęście dość rozproszone, gdyż były to stare tapety, na których każda róża była na tyle odosobniona, że gdyby żyła, można by ją zerwać, a każdego ptaka wsadzić do klatki i oswoić, nie jak w bogato zdobionych współczesnych sypialniach, gdzie narysowane w japońskim stylu wszystkie jabłonie Normandii tłoczą się na srebrnym tle, by mamić godziny, które spędzacie w łóżku; w tym domu zatem cały dzień pozostawałem w sypialni wychodzącej na piękną zieleń parku i na bzy przy wejściu, na zielone liście wielkich drzew połyskujących w słońcu nad brzegiem wody oraz na las w Méséglise. Właściwie patrzyłem na to wszystko z przyjemnością tylko dlatego, że myślałem: „Miło mieć tyle zieleni w oknie sypialni", aż do chwili, gdy na obszernym zieleniejącym płótnie dostrzegłem namalowaną na ciemnoniebiesko, bo stojącą dalej, dzwonnicę kościoła w Combray. Nie wyobrażenie owej dzwonnicy, lecz samą dzwonnicę, która, unaoczniając mi odległość mierzoną w milach i latach, wyryła się pośród świetlistej zieleni na szybie mojego okna całkiem odmiennym tonem, tak ciemnym, że zdawała się ledwie zarysowana. A kiedy wychodziłem na moment z sypialni, na końcu korytarza, który był ustawiony pod innym kątem, jaśniało szkarłatne pasmo tapety w saloniku, będącej zwykłym muślinem, tyle że czerwonym, gotowym zapłonąć w promieniach słońca.

Podczas tych przechadzek Gilberta mówiła mi, że Robert się od niej odwraca, ale po to, by uganiać się za innymi kobietami. I prawdą jest, że wiele z nich wypełniało mu życie, trochę jak towarzystwo kolegów mężczyznom lubiącym kobiety, co jest zupełnie jałową obroną, bezcelowo okupowanym miejscem, jak to, które w większości domów

zajmują bezużyteczne bibeloty. Kilka razy podczas mojego pobytu odwiedził Tansonville. Był zupełnie inny niż kiedyś. Życie go nie otłuściło ani nie spowolniło jak pana de Charlusa, wręcz przeciwnie, dokonało odwrotnej przemiany i Robert – choć złożył dymisję w momencie ślubu – bardziej niż kiedykolwiek wyglądał na zażywającego swobody oficera kawalerii. W miarę jak pan de Charlus stawał się ociężały, Robert (był wprawdzie dużo młodszy, lecz czuło się, że z wiekiem będzie się tylko zbliżał do tego ideału, jak owe kobiety, które świadomie poświęcają twarz na rzecz figury i od pewnego momentu nie opuszczają już Marienbadu, gdyż uważają, że skoro nie sposób zachować wszystkich aspektów młodości, to sylwetka ma największe szanse, by reprezentować pozostałe) był coraz smuklejszy i żwawszy: odwrotny skutek tego samego zboczenia. Owa chyżość miała zresztą różne uwarunkowania psychologiczne: lęk przed zdemaskowaniem, chęć ukrycia tego lęku, gorączkowość, jaką rodzi zmartwienie i niezadowolenie z siebie. Miał zwyczaj chodzić w pewne podejrzane miejsca, a ponieważ nie chciał, by widziano, jak wchodzi i wychodzi, wpadał do nich z impetem, tak by wzrok hipotetycznych przechodniów obejmował jak najmniejszą powierzchnię, niczym podczas szturmu. Ta wietrzność przylgnęła do niego na trwałe. Być może również przedstawiała ona schematycznie pozorną nieulękłość kogoś, kto chce pokazać, że się nie boi, i nie chce dać sobie czasu do namysłu. Należałoby wreszcie wziąć pod uwagę rosnące wraz z wiekiem pragnienie, by wyglądać młodo, a nawet niecierpliwość owych zawsze znudzonych, zblazowanych mężczyzn, jakimi stają się ludzie zbyt inteligentni, by wieść tak bezczynne życie, w którym nie mogą realizować swoich zdolności. Ich bezczynność można zapewne tłumaczyć nonszalancją. Bezczynność jednak, zwłaszcza od czasu, gdy ćwiczenia fizyczne cieszą się takim powodzeniem, przyjęła sportową formę, i to nawet poza godzinami przeznaczanymi na sport, co nie wyraża się już nonszalancją, lecz gorączkową żywotnością, która nie chce pozostawiać miejsca ani czasu na nudę.

W mojej pamięci, także tej mimowolnej, zatarła się miłość do Albertyny. Wydaje się jednak, że istnieje mimowolna pamięć ciała, która

jest bladą i jałową imitacją tamtej, ale trwa dłużej, tak jak pewne nierozumne zwierzęta i rośliny żyją dłużej od człowieka. Nogi i ręce pełne są zastygłych wspomnień. Kiedy raz dość wcześnie rozstałem się z Gilbertą, obudziłem się w środku nocy w sypialni w Tansonville i jeszcze na poły śpiąc, zawołałem: „Albertyno". Nie żebym o niej myślał, śnił albo pomylił ją z Gilbertą: po prostu rozkwitłe w mojej ręce wspomnienie kazało mi poszukać za plecami dzwonka, tak jak w paryskiej sypialni. A ponieważ go nie znalazłem, zawołałem: „Albertyno", sądząc, że moja zmarła przyjaciółka leży obok, tak jak to się często zdarzało wieczorem, gdy razem zasypialiśmy, i obliczając po przebudzeniu czas, jakiego będzie potrzebowała Franciszka, aby przyjść, bez większego ryzyka prosiłem Albertynę o pociągnięcie za dzwonek, którego nie mogłem znaleźć.

Stając się – przynajmniej w tym przykrym okresie – coraz oschlejszym, niemal nie okazywał już przyjaciołom, na przykład mnie, żadnej czułości. Względem Gilberty natomiast bywał wręcz komicznie, wstrętnie czułostkowy. Nie żeby Gilberta była mu w rzeczywistości obojętna. Nie, Robert ją kochał. Cały czas jednak ją okłamywał; jego dwulicowość, a nawet istota jego kłamstw, widoczna była jak na dłoni. Sądził zatem, że nie zdoła się z tym uporać inaczej, jak tylko żałośnie wyolbrzymiając faktyczny smutek, jaki odczuwał, dręcząc Gilbertę. Przyjeżdżał do Tansonville, ale, jak mówił, nazajutrz rano musiał już wyjechać, by omówić coś z pewnym jegomościem z okolicy, który oczekiwał go w Paryżu, lecz który, spotkany tego wieczora opodal Combray, mimo woli obnażał kłamstwo Roberta, gdyż ten zapomniał go wtajemniczyć, a ów jegomość akurat wyznał, że przyjechał odpocząć i wraca do Paryża dopiero za miesiąc. Robert rumienił się, widząc melancholijny i wyniosły uśmiech Gilberty, wypominał jegomościowi gafę, wracał przed żoną, przesyłał jej pełen rozpaczy liścik, w którym pisał, że skłamał, aby jej nie martwić, aby przez jego wyjazd, którego powodu nie mógł jej wyjawić, nie pomyślała, że jej nie kocha (a wszystko to, choć napisane jako kłamstwo, było w sumie prawdą), po czym kazał zapytać, czy może do niej wejść, i wtedy, po części prawdziwie zasmucony, po części rozdrażniony takim życiem, a po

części coraz śmielej udając, szlochał, polewał się zimną wodą, mówił, że wkrótce umrze, a czasem padał na parkiet, jakby źle się poczuł. Gilberta nie wiedziała, do jakiego stopnia mu wierzyć, podejrzewała, że w każdym szczególe ją okłamuje, lecz ogólnie ją kocha, i niepokoiła się tym przeczuciem bliskiej śmierci, sądząc, że Robert cierpi może na jakąś chorobę, o której ona nie wie, i z tego powodu nie śmiała mu się sprzeciwiać ani prosić go, żeby zrezygnował z podróży.

Tym bardziej było dla mnie niezrozumiałe, dlaczego wszędzie, gdzie przebywali państwo Saint-Loup, w Paryżu czy w Tansonville, Morel był z Bergotte'em[1] przyjmowany jak członek rodziny. Morel zachwycająco naśladował Bergotte'a. Po pewnym czasie nie trzeba go już było nawet prosić o tę sztuczkę. Podobnie jak owi histerycy, których nie musimy usypiać, żeby stali się tą czy inną osobą, sam z siebie wcielał się nagle w jego postać.

Franciszka, która widziała już wszystko, co pan de Charlus uczynił dla Jupiena, i wszystko, co Robert de Saint-Loup robił dla Morela, nie wyciągała z tego wniosku, że chodzi o cechę, która ujawnia się w kolejnych pokoleniach Guermantów, lecz raczej – ponieważ Legrandin bardzo pomagał Teodorowi – uznała w końcu, przy całej swojej moralności i skłonności do uprzedzeń, że to pewien powszechny, a zatem godny szacunku zwyczaj. O młodzieńcu, czy chodziło o Morela, czy o Teodora, mówiła zawsze: „Znalazł se pana, co zawsze się nim interesował, więc wyszedł mu z pomocą". A że w podobnych wypadkach opiekunowie to ci, którzy kochają, cierpią i wybaczają, Franciszka, wybierając między nimi a sprowadzanymi na złą drogę młokosami, nie wahała się przypisywać im chwalebnej roli, dostrzegając w nich „wiele serca". Bez mrugnięcia okiem ganiła Teodora, który nieraz oszukał Legrandina, choć przecież nie miała raczej wątpliwości co do natury ich relacji, gdyż dodawała: „Więc mały pojął, że trzeba trochę dać z siebie, i powiedział: »Proszę mnie zabrać, będę pana kochał, będę panu dogadzał«, i, na Boga, ten pan ma tyle serca, że Teodor na pewno dostanie odeń więcej, niż zasługuje, bo to gorąca głowa, ale ten pan

1 Strony te powstały, zanim Proust uśmiercił pisarza w *Uwięzionej*.

jest tak dobry, że nieraz mówiłam Żanecie (narzeczonej Teodora): »Mała, jak tylko masz kłopot, idź do tego pana. Prędzej sam będzie spał na podłodze, ale łóżko ci odda. Za bardzo kochał małego (Teodora), żeby go wyrzucić. Na pewno nie da mu zginąć«".

Przez grzeczność zapytałem siostrę Teodora, który mieszkał teraz na południu, jak brzmi jego nazwisko. „Ależ to on napisał do mnie po artykule w »Le Figaro«!" – wykrzyknąłem, dowiedziawszy się, że nazywa się Sautton.

Tak samo wyżej ceniła Saint-Loupa niż Morela i uważała, że pomimo wszystkich wybryków małego (Morela) markiz nigdy nie zostawi go w kłopocie, bo to człek, który ma zbyt wiele serca, no chyba że jego samego spotka jakie nieszczęście.

Nalegał, żebym został w Tansonville, i choć wyraźnie nie starał się już być dla mnie miły, raz mu się wymsknęło, że moja wizyta sprawiła jego żonie tyle radości, iż cieszyła się nią, jak sama mu wyznała, przez cały wieczór, a był to wieczór, kiedy czuła taki smutek, że przybywając znienacka, cudownie ocaliłem ją od rozpaczy, „albo i czegoś gorszego", dodał. Prosił, żebym próbował ją przekonać, że ją kocha, mówiąc, że kobietę, którą również kocha, kocha mniej niż ją i wkrótce z nią zerwie. „A przecież – dodawał z taką próżnością i zaufaniem, że chwilami sądziłem, iż imię Charliego wbrew woli Roberta nagle »wyskoczy« jak numer na loterii – mam z czego być dumny. Owa kobieta, która daje mi tyle dowodów czułości i którą poświęcę dla Gilberty, nigdy nie zwróciła uwagi na żadnego mężczyznę, uważała, że nie jest w stanie się zakochać. Jestem jej pierwszym. Wiedziałem, że tak konsekwentnie wszystkich odrzucała, toteż gdy otrzymałem uroczy list, w którym pisała, że nie wyobraża sobie szczęścia beze mnie, nie mogłem się otrząsnąć. Oczywiście, miałbym się czym upajać, gdyby tylko myśl o tej biednej, zalanej łzami małej Gilbercie nie była dla mnie nie do zniesienia. Nie uważasz, że jest w niej coś z Racheli?", pytał. I w istocie, uderzyło mnie mgliste podobieństwo, jakie można było teraz ewentualnie między nimi znaleźć. Być może polegało ono na realnej bliskości paru cech (wynikających na przykład z hebrajskiego pochodzenia, u Gilberty słabo jednak zaznaczonego),

z której powodu Robert, gdy rodzina chciała, żeby się ożenił, przy zbliżonym majątku kandydatek skłonił się ku Gilbercie. Polegało również na tym, że Gilberta, znalazłszy fotografie Racheli, której nie znała nawet z imienia, próbowała potem przypodobać się Robertowi, naśladując pewne zwyczaje aktorki, takie jak czerwone kokardy we włosach, czarna aksamitna tasiemka na ramieniu czy nawet farbowanie włosów na brunetkę. Czując potem, że wskutek zgryzoty brzydnie, usiłowała temu zaradzić. Niekiedy przesadzała. Kiedy któregoś dnia Robert miał przyjechać wieczorem do Tansonville na dwudziestoczterogodzinną przepustkę, zdumiałem się, widząc, jak Gilberta siada do stołu tak zadziwiająco odmienna, nie tylko względem tego, jaka była kiedyś, lecz nawet na co dzień, że osłupiałem, jakbym miał przed sobą jakąś aktorkę odgrywającą Teodorę[2]. Czułem, że wbrew sobie za bardzo się jej przyglądam, zastanawiając się, co też uległo zmianie. Ciekawość ta została zresztą szybko zaspokojona, kiedy Gilberta wytarła nos, i to pomimo wielkiej ostrożności, z jaką to uczyniła. Po kolorach, które stworzyły na chusteczce całkiem bogatą paletę, poznałem, że Gilberta ma na sobie pełen makijaż. To dzięki temu miała tak krwiste wargi, które próbowała ułożyć w uśmiech, sądząc, że tak będzie ładnie, podczas gdy wraz ze zbliżającym się przyjazdem pociągu, mimo iż nie wiedziała, czy jej mąż naprawdę przybędzie, czy raczej przyśle jedną z owych depesz, której wzór pomysłowo ustalił pan de Guermantes: nie mogę dotrzeć stop dowolne kłamstwo stop, jej policzki bladły pod fioletowym od pomady potem, a oczy znów robiły się podkrążone.

„Och, wiesz przecież – mówił przepitym, po aktorsku modulowanym głosem i z udawaną czułością, która tak kontrastowała z tą dawną, jakże spontaniczną – wszystko bym oddał za to, żeby Gilberta była szczęśliwa! Tyle dla mnie zrobiła. Nie zdajesz sobie sprawy". Najgorsza w tym wszystkim była i tak miłość własna, gdyż schlebiało mu, że Gilberta go kocha, a nie śmiał wyznać, że sam kocha Charliego, choć przecież

2 Kurtyzana poślubiona przez cesarza Justyniana. W 1885 roku grająca tytułową rolę Sarah Bernhardt święciła triumfy w sztuce Victoriena Sardou *Théodore*.

o miłości, jaką skrzypek rzekomo go darzył, opowiadał z wyolbrzymionymi albo nawet od początku do końca zmyślonymi szczegółami, wszak Charlie żądał od niego coraz więcej pieniędzy. A zatem powierzył Gilbertę mojej opiece i wrócił do Paryża.

Miałem zresztą okazję – uprzedzając nieco fakty, bo wciąż jestem w Tansonville – poobserwować go raz z daleka w towarzystwie, gdzie jego mimo wszystko żywa i urocza konwersacja pozwoliła mi wrócić do przeszłości; uderzyło mnie, jak się zmienił. Coraz bardziej przypominał matkę, odziedziczona po niej wyniosła smukłość, której ona była doskonałym zwieńczeniem, w jego osobie osiągnęła dzięki pełniejszej edukacji pewną sztywność i przesadę; typowa dla Guermantów przenikliwość spojrzenia tutaj sprawiała wrażenie, że Robert inspekcjonuje wszystkie miejsca, przez które przechodzi, tyle że jak gdyby nieświadomie, wskutek nawyku i fizycznej osobliwości. Nawet kiedy się nie poruszał, szczególna cera, charakterystyczna raczej dla niego niż dla wszystkich Guermantów, coś jakby zastygłe złoto słonecznego dnia, nadawała mu tak dziwnego upierzenia, czyniła zeń gatunek tak niespotykany i cenny, że chciało się go posiadać w swojej ornitologicznej kolekcji; kiedy jednak to światło przemienione w ptaka zaczynało się jeszcze ruszać i działać, kiedy na przykład widziałem, jak Robert de Saint-Loup wchodzi na przyjęcie, wyciągał głowę tak jedwabiście i pysznie okrytą złotym pióropuszem nieco oskubanych włosów, a ruchy jego szyi były tak dalece zgrabniejsze, dumniejsze i zalotniejsze niż u ludzkich istot, że wobec na poły towarzyskiej, a na poły zoologicznej ciekawości i fascynacji, jaką budził, można się było zastanawiać, czy znajdujemy się na Faubourg Saint-Germain, czy w Ogrodzie Botanicznym, i czy patrzymy na wielkiego pana przechodzącego przez salon, czy na spacerującego po klatce ptaka. Zresztą cały ten powrót do ptasiej wytworności Guermantów o ostrym dziobie i przeszywającym wzroku dokonał się na użytek nowego zboczenia, które posługiwało się tym wszystkim, by dodać sobie odwagi. Im więcej Robert z tego korzystał, tym bardziej wyglądał na kogoś, kogo Balzac nazywa ciotką. Wystarczyła odrobina wyobraźni, a jego szczebiot pasował do tej interpretacji równie dobrze

jak upierzenie. Zaczynał wypowiadać zdania, które w jego mniemaniu pochodziły ze Złotego Wieku, i tym samym naśladował manierę Guermantów. Jakiś trudny do określenia drobiazg sprawiał jednak, że stawały się one jednocześnie manierą pana de Charlusa. „Zostawię cię na chwilę – powiedział mi tamtego wieczora, kiedy pani de Marsantes nieco się oddaliła. – Poumizgam się odrobinę do matki".

Jeśli chodzi o ową miłość, o której bez przerwy mi opowiadał, to nie była to zresztą miłość wyłącznie do Charliego, choć tylko ona się dla niego liczyła. Niezależnie od rodzaju miłości, zawsze mylimy się co do liczby osób, z którymi dany mężczyzna utrzymuje stosunki, dlatego że błędnie interpretujemy przyjaźnie jako stosunki, a zatem liczymy ich zbyt wiele, lecz również dlatego, że sądzimy, iż jeden związek wyklucza drugi, co stanowi błąd jeszcze innego typu. Dwie osoby mogą powiedzieć: „Znam kochankę Iksińskiego", podać dwa różne nazwiska i obie będą mieć rację. Kobieta, którą kochamy, rzadko zaspokaja wszystkie nasze potrzeby i zdradzamy ją z kobietą, której nie kochamy. Co się tyczy tego rodzaju miłości, który Saint-Loup odziedziczył po panu de Charlusie, to żona mężczyzny o takich skłonnościach jest zwykle szczęśliwa. To powszechna zasada, od której Guermantom udało się stworzyć wyjątek, ponieważ ci, którzy mieli owe upodobania, chcieli sprawiać wrażenie, że są kobieciarzami. Pokazywali się z jedną czy drugą, doprowadzając tę swoją do rozpaczy. Courvoisierowie stosowali tę metodę rozsądniej. Młody wicehrabia de Courvoisier uważał, że od stworzenia świata tylko on jeden na tej ziemi ma skłonność do osób tej samej płci. Uznawszy, że to diabelska pokusa, walczył z nią, poślubił zachwycającą kobietę i spłodził z nią dzieci. Później jeden z kuzynów uświadomił mu, że owa skłonność jest dość powszechna, i posunął swoją dobroć aż do tego, iż prowadzał go do miejsc, w których można ją zaspokoić. Pan de Courvoisier jeszcze bardziej pokochał żonę, podwoił płodną gorliwość i o obojgu mówiło się jako o najlepszym małżeństwie w Paryżu. Nie mówiono tego o państwie Saint-Loup, gdyż Robert, zamiast zadowolić się uranizmem, kazał żonie umierać z zazdrości, utrzymując bezużyteczne kochanki.